

DZIENNIK WILEŃSKI

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Dodatek kulturalno-literacki

Z wielkanocnych zwyczajów i wierzeń

Okres Wielkiej Nocy, tego bezsprzecznie największego święta w całym cyklu roku kościelnego, jest równocześnie okresem, z którym wiąże się szczególnie wielka ilość zwyczajów i wierzeń ludowych. W obrzędach tych splatają się razem pozostałości dawnej magii, mającej na celu sprowadzenie odpowiednimi praktykami pomyślności i urodzaju, wprowadzone przez Kościół pierwsiastki wierzeniowe i reminiscencje z średniowiecznych, wielkopostnych misterjów, dalej echa prastarego kultu przodków i wreszcie momenty matrymonjalne.

Początek wszystkim tym obrzędom daje Niedziela Palmowa, w którym to dniu poświęca się gałązki wierzbowe, ewentualnie kwiatostany trzciny (Phragmites) pod nazwą palm. Palmą tą uderza się w wielu okolicach po powrocie z kościoła domowników trzykrotnie, mówiąc: „Nie ja biję, palma bije, za tydzień Wielki Dzień”. Jakkolwiek święcenie palm przypominać ma wjazd Chrystusa Pana do Jerozolimy, a chłostanie nią biczowanie, to jednak zaznaczyć trzeba, że zwyczaj ten jest pochodzenia przedchrześcijańskiego. Takie wici zielone występują bowiem według prof. Poniatowskiego (St. Poniatowski „Etnografja Polski”, Wiedza o Polsce, tom III) we wszystkich obrzędach wczesnowiosennych pod rozmaitą postacią (różdżek, drzewek). Podobnie chłosta należy do prastarego rytuału obrzędowego, mającego na celu zapewnienie zdrowia i pomyślności i występuje także przy innych zwyczajach dorocznych (n. p. w okresie świąt Bożego Narodzenia).

Święconej palmie przypisuje się własności niezwykle. Zawieszona w izbie, lub budynkach gospodarskich chroni je od pioruna, gałązki jej wbite na czterech rogach pola chronią od grożącego grabobicia (krakowskie), dym z jej spalania ma moc rozpędzania groźnych chmur (wołyńskie) i t. p. Palmą wielkanocną wypędza się w niektórych okolicach po raz pierwszy bydło na pole i błogosławi ją. Bażki z palmy bywają czasem, np. na Orowie, używane przy siewie — rolnik rzuca je pod pierwszą skibę; przypisuje się im pozątem powszechnie znaczenie lecznicze. Mają mianowicie leczyć bóle gardła. Pewne znaczenie posiadają również węgle, pozostałe ze spalania korony cierniowej, co odbywa się na dziedzińcu kościelnym we Wielką Sobotę rano. W Gorlickiem uważają, że rozrzucone na polach zabezpieczają je przed szkodnikami. W niektórych okolicach rozpala się ogniem przyniesionym z kościoła ognisko domowe. Woda, którą Kościół poświęca we Wielką Sobotę służy do skrapiania pól. Obrzędu tego dokonuje się w poniedziałek wielkanocny o świcie. — Nietylko palma i woda święcona mają cudowną moc, ale i ostatnie dni Wielkiego Tygodnia, poprzedzające cud Zmartwychwstania, posiada-

ją wyjątkowy charakter. Tak n. p. zanurzenie się trzykrotnie w rzece lub potoku w Wielki Czwartek o świcie leczyć ma z wyrzutów skórnych (gorlickie).

Wśród wielkotygodniowych zwyczajów spotykamy też pozostałości z dawnych widowisk pasyjnych, które łącznie z innymi religijnymi misterjami były b. popularne w średniowieczu i później jeszcze w całej Europie, a zniknęły z początkiem XVIII w. na skutek sprzeciwów Kościoła, spowodowanych tem, że w widowiskach tych wzięły czasami górę elementy komedjowe ze szkodą pierwiastka religijnego. Gdziekolwiek jednak zachowały się. Miejsowością sławną ze swych widowisk pasyjnych jest niemieckie Oberammergau. Refleksem takich właśnie przedstawień jest według prof. Fischera (A. Fischer „Lud polski”) znany u nas powszechnie zwyczaj stawiania straży przy Bożych Grobach, oraz praktykowany w niektórych okolicach (Powiśle Sandomierskie) zwyczaj włóczenia bałwana wyobrażającego Judasza.

Najpopularniejszym i najcharakterystyczniejszym zwyczajem wielkanocnym jest urządzenie znanego nam wszystkim, „święconego”. Święcone, a zwłaszcza główny jego składnik: jaja wielkanocne, odgrywają podobną rolę w ludowych praktykach gospodarskich, jak palma i ołaczane są wielkim szacunkiem. W gorlickiem okrucich święconego nie wyrzuca się jak zwyczajne resztki, a e, starannie zebrane, pali w ogniu, albo też daje ptaszkom, lub kurom, by „prędko kwokały”. Nie wolno natomiast dawać ich psu, lub kotowi, bo... wech-by straciły. Woda, w której gotowały się jaja, przeznaczona na święcenie, pomocna jest na nogi przeciw spekaniom, a wylana do sadu pod drzewa owocowe zapewnia lepszy urodzaj. U Huculów ta sama woda leczy bóle oczu, a święconą słonina (ściśle mówiąc dym z jej spalania) odpędza burze. — Ze święconem wiąże się ściśle zwyczaj farbowania jaj i sporządzania pisanek. Barwi się jaja zwykle barwikami roślinnymi; na żółto wywarem z łupin cebuli, lub pączków

knieni błotnej (Caltha), na zielono odwarem z młodego żyta, kotek osiki z alunem i t. p., lub nawet przy pomocy kolorowej bibuły. Jaja ufarbowane na jeden kolor noszą nazwę kraszanek, malowanek, byczków, lub ałunków, gdy zaś otrzymają deseń różnokolorowy, stanowią właściwe pisanek. Pełnią one rolę upominków świątecznych i służą jako wykupne od oblewania; znane są też różne zabawy „w jajka”.

Niemniej popularnym od święconego i pisanek jest zwyczaj oblewania się wodą w poniedziałek wielkanocny, czyli śmigus, albo dyngus. Nie we wszystkich jednak okolicach Polski obie te nazwy są znane. Często mówi się tylko o „oblewaniu” i „oblewaniem poniedziałku”. Sam zresztą wyraz śmigus, pochodzący z niem. Schmackostern, oznaczał pierwotnie bicie różgą w Niedzielę Palmową. Termin drugi: dyngus — wywodzi się od niem. dingen = okupywać się, gdyż tak od różgi, jak i oblewania wykupywano się. Oby tych określeń używa się w niektórych okolicach na oznaczenie chodzenia po domach po dary w poniedziałek wielkanocny. Prócz ludzi oblewane bywają czasami i krowy, a to w tym celu, by więcej dawały mleka. Na Kujawach pławi się konie, by się dobrze chowały. Oblewanie stosowanym też bywa poza obrębem świąt, jako środek sprowadzający deszcz. Podczas dłuższej posuchy oblewano dawniej baby wodą, lub wprost przemocą pławiono w rzece w mniemaniu, że zabieg ten przerywie suszę. Oblewanie i chłosta nie były dawniej związane z jednym dniem, ale trwały dłuższy czas.

Z chodzeniem po dary i oblewaniem łączy się często oprowadzanie t. zw. kurka. Kurek jest to bądź żywy kogut odpowiednio przystrojony, bądź sztuczny z drzewa, gliny i t. p., przybrany w pierze i umocowany na kółkach. Z kurkiem chodzą z reguły chłopcy. Dla dziewcząt przeznaczony jest „maik”. Jest to gałąź choiny, odpowiednio przybrana, którą obnosi się przy pieśniach i życzeniach „nowego latka”. Przebierano się też czasami — przeważnie w Małopo-

lscie połudn. — za kura, niedźwiedzia, a t. zw. dziadów śmigusowych, cudacznie ubranych i t. p. Obchody tego rodzaju nie wszędzie na ziemiach Polski są znane i dzisiaj występują w postaci przeważnie szczątkowej. Sam „maik” nie jest nawet ściśle związanym z Wielkanocą, bo występuje już w śródpościu i trwa aż do Zielonych Świątek.

W zwyczajach i obrzędach wielkanocnych przebijają się, jak już zaznaczono na wstępie, także i momenty związane z kultem zmarłych. Najwyraźniej występują one w obrzędowości ziem wschodnich, niemniej jednak i na innych ziemiach Polski dadzą się z łatwością odszukać. Tak więc w gorlickiem, jeśli w ciągu roku zmarł ktoś z rodziny, przypadająca na niego część święconego ofiarowuje się ubogim z prośbą o modlitwę za jego duszę. Obdarzanie ubogich na Wielkanoc na intencję zmarłych jest dosyć rozpowszechnione. Czasami nawet Kościół solidaryzuje się z odwieczną tradycją, gdyż w niektórych parafjach (n. p. Biecz) w poniedziałek wielkanocny, idzie procesja z kościoła na cmentarz, podobnie jak na Wszystkich Świętych. Na ziemiach wschodnich urządza się uczty na grobach i rozdaje jadło ubogim (co prawda nie zawsze na Wielkanoc, ale często na Zielone Świąta) i zakopuje na mogiłach jaja wielkanocne. W okresie Świąt Wielkanocnych palono też ognie dla zmarłych w celu „ogrzenia zziębniętych dusz”, który to zwyczaj występuje i dziś u Huculów.

Także w innych obrzędach wielkanocnych widzą etnografowie element zaduszkowy. Tak np. oblewanie wodą według przypuszczenia prof. Poniatowskiego, mogłoby mieć charakter zaduszkowy, gdyż oblewanie takie było dawniej oczyszczeniem stosowanym w związku z obrzędami ku czci zmarłych. Podobny charakter ma mieć bicie różgą wielkanocną. U Łotyszów bowiem uczestnicy pogrzebu po powrocie biją zielonemi wtkami domowników..

A wreszcie nazwa najbliższego okresu poświęconego: „przewody”, niedziela „przewodnia”, wskazywać mają na to, że w czasie tym odbywało się przewodzenie, czyli wyprawianie na tamten świat dusz zmarłych, które na okres świąteczny ściągnęły na ziemię.

Oprócz zwyczajów, mających charakter zabiegów magicznych i momentów zaduszkowych poprzez ludową obrzędowość wielkanocną przewijają się i motywy matrymonjalne. Zaznaczają się one w oblewaniu, które jest pewnym wyrazem hołdu dla dziewczyny. Każdy chłopiec oblewa przedewszystkiem swoją „wybraną” i przez jej rodziców jest przyjmowany. Obok tego występuje pierwiastek matrymonjalny w obdarowywaniu się pisanekami, oraz pieśniach i grach wielkanocnych, rozpowszechnionych szczególnie na ziemiach wschodnich n. p. Pokuciu (gra „w Zelmana”, „Swaty”), lub Białorusi („Caryca”).

MILETA JAKSZIC (Jugostawja)

Poeta i poezja

*Nie oraj gwałtem po serca niwie!
Niema li kwiatu?—więc czekać trzeba
chowaj załazek w piersiach troskliwie
jak pszenne ziarno rodajna gleba.
Jeśli Bóg zechciał, byś rajskie kwiecie
wypielegnował kiedyś na świecie,
to kwiatów rajskich zarodnia żywa
napewno w sercu twojem się skrywa.
Więc czekaj tylko, wyzbyj się troski,
aż cię powoła ogrodnik Boski:
On pośle tobie ducha zdaleka
by kwiat rozwinął. Trawka nie rośnie
zimową porą, lecz słońca czeka.
A gdy nad tobą genjusz miłośnie
wzleci i złotem skrzydłem powionie
i na twej piersi położy dłonie,
pączek się zbudzi, — w jednej godzinie
w kwiat się rozwinie!...*

przetłóżył KAZIMIERZ RYCHŁOWSKI

Zmierzch historyków wiktoriańskich

Jedną z cech charakterystycznych okresu wiktoriańskiego było zadowolenie z siebie. Widzi się to i na polu historii. Niewiele jest dzieł, pisanych z taką pewnością, że zna się całą prawdę i że się ją oświeśla z jedynie słusznego punktu widzenia, jak „Historja angielskiej od wstąpienia na tron Jakóba II” Macaulay’a lub „Rewolucja francuska”, „Cromwell” czy „Fryderyk II” Carlyle’a. Zupełnie podobne objawy można obserwować u mniejszych historyków, n. p. u Froude’a.

Froude pierwszy uległ druzgocącej krytyce opartej na ściślejszych i większą sumiennością nacechowanych metodach naukowych. Zaczęło się od polemiki o sposób wydania „Wspomnień” Carlyle’a, ale po jakimś czasie wzięto się i do oryginalnych prac Froude’a, zaczęto kontrolować jako źródła i wykryto, że popełnił cały szereg nieuczciwości **ad maiorem gloriam** — twórców Kościoła anglikańskiego, Henryka VIII i Elżbiety.

Przyszła jednak kolej i na owych dwóch większych historyków, których pisma — jeżeli idzie o Carlyle’a, także filozoficzne, a jeżeli idzie o Macaulay’a, także historycznoliterackie — czytano przez długie lata, jakby ewangelję. Pokazuje się, że ta nadzwyczajna popularność i to nadzwyczajne zaufanie wynikało nietylko z samej treści dzieł, ile z dwóch innych przyczyn — z olbrzymiej pewności siebie, jaką okazywali Carlyle i Macaulay, oraz ze świetnych rzeczywiście zalet stylistycznych.

Być może, iż wrażenie potęgowało się jeszcze wskutek wyraźnego przeciwieństwa stylu. Carlyle był typowym romantykiem — wybuchał oburzeniem, wpaadał w liryzm, to znów krył swe myśli pod pytaniami retorycznymi i wykrzyknikami. Związły, namiętny, apodyktyczny, umiał czytelnika wprowadzać w nastrój i sugerować.

Tosamo osiągał Macaulay swemi zgoła odmiennymi środkami. Dbał zawsze o jasność, o dociągnięcie myśli, ilustrował każdy wypadek przykładami i cytatai, figur używał wedle wzorów starożytnych. Był typowym klasykiem. Ale pod jego klasyczną szatą kryła się taka sama nieomylność, jak u Carlyle’a.

Toczący się przeciw nim proces jest dziś już dość daleko posunięty. Nie myślę kreślić jego historii, przystępuję od razu do wypadków ostatnich.

Złożyło się tak, że wyszły w Londynie prawie równocześnie dwie książki, ilustrujące stanowisko, jakie dzisiejsza historiografia i historia literatury zajmują wobec Carlyle’a i Macaulay’a. Jedna jest świeżo napisana, druga to tylko przedruk z przed lat ośmdziesiąt.

Rzecz ciekawa, że Nietzsche, na którego kult nadludzki niewątpliwie wywarł pewien wpływ Carlyle swym kultem bohaterów, określił swego ideowego poprzednika surowo, ale trafnie jako „angielskiego ateistę, który zdobył sławę przez ustawiczne powtarzanie, że nie jest ateista”. Jak wiadomo, Carlyle wychował się w atmosferze szkockiego kalwinizmu, ale bardzo wczesnie utracił wiarę. Doprowadziło to do paradoksalnych skutków, gdyż występował ustawicznie jako prorok Boga, ale najprawdopodobniej nie uznawał nadal Jego istnienia. Mówi wprawdzie w poświęconym swej ewolucji duchowej sławnym **Sartor Resartus** o przełomowym momencie, ale, używając alegorii, nie jest jasny (może umyślnie), zresztą, jak zobaczymy, traktuje zagadkę bytu raczej

negatywnie, niż pozytywnie. Pisze dla społeczeństwa chrześcijańskiego i — przynajmniej zewnętrznie — przywiązującego wielką wagę do religii, a jest co najwyżej deistą, i to może tylko wahaającym się i nieszczerym. Stąd wewnętrzne rozdźwięki w jego dziełach, dla współczesnych, oszołomionych płomienną wymową niedostrzegalne, dla nas niewątpliwie.

Mówiąc wciąż o Bogu, a nie bardzo wierząc w Niego, Carlyle — zgodnie zresztą z kalwinistycznymi tradycjami — mniej myśli o ideale, w imię którego „walczy z Szatanem na ziemi”, a więcej o walce, o szatanie i o wszystkim, co wydaje mu się dziełem szatana. Dochodzi ostatecznie do maksymy „siła przed prawem” (a raczej może „siła jest prawem”). Stąd gloryfikacja rozbiorów Polski i zaboru Alzacji i Lotaryngji; oburzenie na reformę więzień angielskich (może najokropniejszych w owym czasie w Europie); obrona potwornych okrucieństw, jakich dopuścił się jeden z gubernatorów Jamajki; apoteoza działalności Cromwella razem z rzezią Wroghedy! hasło polityki silnej ręki w nieszczęsnej Irlandji (z której cierpień Carlyle doskonale zdaje sobie sprawę, wzruszając się nawet przy tej sposobności); kult Fryderyka II; postulat, aby Anglią rządili „wodzowie przemysłu” (**Captains of Industry**) i wielcy właściciele ziemscy (mimo współczucia dla klas niższych, z których sam Carlyle wyszedł, i rozpaczliwego ich położenia

w czasach dotyczących broszur).

Profesor H. J. C. Grierson w dziełku „Carlyle i Hitler” (**Carlyle and Hitler, Cambridge University Press, 1934**) wyraża może te same myśli, które tu krótko ująłem, łagodniej i z większym umiarkowaniem, bardziej też wierzy w szczerą ustępu, przedstawiającego zwrot Carlyle’a ku Bogu. Z tem wszystkim jednak wykazuje bardzo wyraźnie wewnętrzne sprzeczności jego filozofii i historiografii, kładzie też nacisk na upajanie się słowami i na kaznodziejską pozę — przy częstym braku pozytywnej treści.

Macaulay’owi rzucił już rękawicę znany polityk Winston Churchill. Uczynił to w obronie pamięci swego przodka księcia Marlborough. Jak już miałem sposobność zaznaczyć na tem samym miejscu, nie sądzę, aby życie największego wodza angielskiego można było zupełnie oczyścić z plam, jakie pozostawiła chciwość i dwulicowość polityczna. Nie wierzę jednak również, aby Macaulay zasługiwał na piętno świadomego fałszerza faktów. Natomiast był on niewątpliwie złym krytykiem źródeł i kierował się uprzedzeniami, zdarzało się też, że stylizował wypadki i charaktery dla uzyskania efektownych przeciwstawień.

Już po wyjściu drugiego tomu „Historji angielskiej” Macaulay’a wystąpił John Paget z surową krytyką. Wytknął szereg błędów, i to nie głosłownie, gdyż oparł się na źródłowych studjach.

W szczególności stwierdził, że Macaulay wyrządził krzywdę księciu Marlborough, dzielnemu szkockiemu rojalistcie z czasów ostatnich Stuartów, Grakomowi z Claverhouse oraz założycielowi Pensylwanji, Uwahrowi Williamowi Pennowi. W jednym wypadku miał uwiecznić podejrzanemu źródłu, mianowicie relacji człowieka osobiście zainteresowanego, w drugim pójść za agitacyjnymi broszurami wigów, w trzecim bez uzasadnienia utożsamić Penna z innym człowiekiem tego samego imienia i nazwiska, który był oszustem.

Paget gruntownie przestudjował swój materiał, a pisał żywo i barwnie. Był wybitnym adwokatem, ale na terenie historii stawiał pierwsze kroki. W życiu politycznym brał udział, ale porzuciwszy partję liberalną, a pozostawszy przy zasadach liberalnych, nie miał dużo przyjaściół. Wyzwał zaś na udeptaną ziemię Macaulay’a — byłego członka Rady zarządzającej Indjami, byłego ministra i uznaną wielkość literacką. To też wystąpienie jego przeszło bez wrażenia. Od samego Macaulay’a dostał tylko wzgardliwą, gołosłowną (a błędną) odpowiedź w jednej z poruszonych kwestyj.

Dopiero obecnie ukazał się przedruk szkiców Pageta (**The New Examen, London, Haworth Press, 1934**). Przedmowę napisał nie kto inny, tylko Winston Churchill, który najwidoczniej uznał, że w swej kampanji przeciw Macaulay’owi znalazł w zmarłym dawno Pagecie cennego sprzymierzeńca.

Władysław Tarnawski

Beato Angelico

Wśród mistrzów z epoki wczesnego włoskiego renesansu Fra Giovanni da Fiesole zajmuje jedno z pierwszych, a zupełnie odrębne miejsce, dzięki licznym swym obrazom i freskom, przesiąkniętym duchem pewnej mistyki religijnej ekstazy.

Był to jeden z tych nielicznych mistrzów, który poświęciwszy całe swe życie służbie Bożej, cały swój wielki talent wykorzystał wyłącznie do tego celu. Długie jego, pracowite życie było jedną modlitwą, jednym hymnem pochwalnym na cześć Stwórcy. Nie pożył sławy ni zaszczytów, któremi współcześni tak chętnie obсыpywali mistrzów; skromny i cichy pracuje bez wytchnienia, żyjąc w jakimś nierealnym świecie niebieskich wizyj.

Guido da Vicchio, jak brzmi prawdziwe nazwisko mistrza, urodził się w małej wiosce Vicchio, w prowincji Mugello (Toskanja) w roku 1387.

Jako dwudziestoletni młodzieniec wstępuje do klasztoru Dominikanów; po jednorocznym nowicjacie w Cortonie przyjmuje imię Fra Giovanni Angelico da Fiesole.

Wkrótce jednak cały zakon zmuszony jest opuścić terytorjum republiki florenckiej, a to w związku z wybuchłą schyzmą, w której Dominikanie opowiedzieli się po stronie pracowitego papieża Grzegorza XII.

Przez dziesięć lat przebywa Fra Giovanni wraz z całym konwentem w Cortonie i Foligno, — dopiero w roku 1418 wraca do klasztoru św. Dominika we Fiesole, gdzie pracuje pilnie aż do roku 1436, tworząc prześliznięte minjatury, ozdabiając chorały i psalterze oraz malując pierwsze swe obrazy. Z minjatur tych nie dochoowało się nic zgoła; obrazy z tego okresu czasu świadczą o niewątpliwym talencie, ale jeszcze nie dojrzałym, nie skryzalizowanym. Mistrz dopiero zaczyna rozwijać skrzydła do szerszego lotu.

W roku 1436 Cosimo de Medici oddaje Dominikanom w posiadanie klasztor św. Marka we Florencji. Klasztor wymaga przebudowy, odnowienia i odmalowania.

Pracę tę dzielą między siebie: Michelozzo Michelozzi, jako architekt, i Fra Giovanni, jako malarz. W ciągu dziesięciu lat ozdabia Fra Giovanni kościół i krużganki: powstaje przepiękny obraz Madonny z Dzieciątkiem w ołtarzu głównym, oraz około 50 fresków, wśród których powtarzają się specjalnie przez mistrza umiłowane tematy: Zwiastowania N. M. P. i Sądu ostatecznego.

W dziełach tych zabłysnął Fra Giovanni całą pełnią swego dojrzałego już talentu: wszystkie postacie stają się naturalne, żywe, jakkolwiek pełne harmonji i wdzięku niemal nadziemskiego, — kompozycja planowa, doskonałe oprowadzenie przestroni i perspektywy, koloryt dziwnie miękki i harmonijny.

Niema już w tych obrazach śladu jakiegoś fanatyzmu religijnego, wolne są one od wpływów suchej scholastyki i od zasklepienia się w uświęconych poniekąd szmatach trzynastego wieku. Są to prawdziwe dzieła sztuki, otwierające wspaniały okres wczesnego renesansu.

I jeszcze jedno: wbrew rozpowszechnianemu się coraz bardziej zwyczajowi portretowania na obrazach wybitnych współczesnych osobistości, — Fra Giovanni daje swym postaciom rysy niejako bezosobowe, idealne, — kładąc cały nacisk na odmalowanie wewnętrznego stanu ducha, bólu, rozpacz, czy niebiańskiej niema! ekstazy.

Szczyt swej twórczości osiąga we wspaniałym „Zdjęciu z krzyża”, znajdującym się obecnie w Akademji sztuk pięknych we Florencji. Jest to dzieło, o którym jeden z krytyków wyraża się temi słowy: „pozwała nam ono wglądać w ów wewnętrzny świat, w którym Angelico oddychał i żył. Źródłem jego sztuki nie jest tu ani naiwna wiara dziecięcia, ani zapłakana pobożność prostego braciszka klasztornego, — lecz

jasna i wrażliwa mistyka teologa”. Obraz, podzielony na trzy części, zachwyca zarówno samą kompozycją jak i umiejętnym rozłożeniem i stopniowaniem kolorów oraz mistrzowskim oddaniem wyrazu niemej, a wstrząsającej boleści.

Stawa Fra Giovanni’ego przenika daleko poza granice Florencji. W roku 1445, powołany przez papieża Mikołaja V, przybywa do Rzymu, gdzie maluje freski w kaplicy św. Mikołaja. Przez parę miesięcy przebywa też w Orvieto, ozdabiając tam swemi freskami kaplicę w tamtejszej katedrze. Jako jeden z jego pomocników figuruje wówczas Benozzo.

Pracy tej jednak — z niewyjaśnionych powodów — nie kończy. Wraca do Rzymu i tam umiera, dnia 18 marca 1455.

Z pośród licznych dzieł wielkiego malarza-mistyka uchodzą za najlepsze: „Zdjęcie z Krzyża”, „Św. Stefan rozdający jałmużnę” (fresk w Watykanie), „Koronacja N. M. P. (w Akademji Florenckiej), „Zwiastowanie” (Galerja w Madrycie), — oraz postacie grających aniołów, zamieszczone po bokach wielkiego tabernakulum (obecnie w Galerji Uffisi we Florencji).

Fra Giovanni, zwany przez Włochów „Il beato Angelico”, łączył w sobie największą religijność, graniczącą i ekstazą, — z ogromnym talentem, który oddał w całości służbie Bożej. Dlatego dzieła jego są równocześnie dokumentami swej epoki posiadającymi trwałą wartość, świadczącymi o głębokiej wierze i religijności średniowiecza.

(K. r.)

**Daj grosz
na L. O. P. P.**

Z historii kościoła O.O. Kapucynów w Krakowie

Wielki dzień, który przed laty czterdziestu przeżył Kraków, 24 marca 1794 roku, dzień przysięgi Kościuszki, dzień, w którym w sercach obywateli podwawelskiego grodu zaświtała jutrzienka wolności, wydzieranej Narodowi przez zaborców, zaczął nasz bohater narodowy cicho i skromnie.

Rankiem tego dnia, po nocy nieprzespanej ułożeniu „Aktu powstania obywateli mieszkających województwa krakowskiego” poświęconej, udał się Kościuszko w otoczeniu skromnego orszaku dostojnych gości, z dziś już nie istniejącego pałacyku Wodzickiego, gdzie był zamieszkał, do pobliskiego kościoła OO. Kapucynów. Szli przez ogród pałacowy, a potem furtką, której miejsce istnienia wskazuje odpowiednia tablica, umieszczona na jednym z domów, położonych przy ulicy Loretańskiej. Od furtki do kościoła już tylko parę kroków.

Kościół OO. Kapucynów, w którym Tadeusz Kościuszko modlił się rozpoczynając dzieło oswobodzenia ojczyzny, w którym gwardjan Zakonu O. Kajetan poświęcił jego oręż, dziwnym zbiegiem okoliczności łączy się bardziej niż wiele innych świątyń krakowskich z dziejami walk poprzedników Kościuszki i jego następców.

Kapucyni, Zakon zatwierdzony 13-go lipca 1528 roku przez Papieża Klemensa VII. przybyli do Polski dopiero w listopadzie roku 1694. Znani byli już wówczas na szerokim świecie ze swych zasług położonych na polu misyjnym. Mielę oni już wtedy swoje klasztory w Rosji, na Syberji, w Brazylii, Kongo, Syrii, Egipcie, Tunisie, Grecji i w wielu innych krajach. W połowie XVIII stulecia liczba zakonników tego zgromadzenia dosięgała cyfry 35 tys.

Sprowadził ich do Polski Jan III Sobieski który wystawił Kapucynom w Warszawie klasztor i kościół, jako votum za pomyślne wyprawy przeciw Tatarom i Turkom.

W rok później 20 lipca 1695 roku komisarz generalny OO. Kapucynów O. Franciszek ab Aretio, przybywa do Krakowa z listem polecającym od króla do biskupa krakowskiego Małachowskiego, w sprawie założenia klasztoru w tym mieście. Nabyto w tym celu od rajcy miejskiego Kantellego ogród przy dzisiejszej ulicy Loretańskiej, za sumę 9 tys. 362 złp. i rozpoczęto budowę klasztoru i kościoła z hojnych datków jakie posypały się na ten cel. — I tak Wojciech Debiński złożył na budowę kościoła sumę 2 tysiące złp., starosta krakowski Wielopolski 1 tys. złp., Straszewski 3 tys. złp., wojewoda sandomierski Warszycycki 1 tys. złp., królowa Maria Kazimiera 16 tys. złp. Gdy rozpoczęto budowę kościoła pierwszy ofiarodawca, chorąży zatorski, Wojciech Debiński zobowiązał się pokryć wszystkie związane z nią koszty, toteż OO. Kapucyni uważają go za właściwego fundatora. Budowę prowadził Marcin Pelegrini. Konsekracji dokonano dnia 15 maja 1703 roku. Kościół stanął pod wezwaniem Zwiastowania Najświętszej Marii Panny.

Dalsze dzieje kościoła i klasztoru zawierają kilka ciekawych wydarzeń, które zakończyły się dla niego szczęśliwie, jak twierdzi kronika klasztorna, dzięki opiece Tej, pod której wezwaniem kościół wzniesiono. W latach 1707 do 1710 szalała w Krakowie morowa zaraza, której ofiarą padło około 30 tysięcy mieszkańców. Nie było ani jednego domu, do którego nie zawitałaby śmierć; w klasztorze OO. Kapucynów przebywało wówczas 17 zakonników i żaden z nich nie chorował. W czasie Konfederacji barskiej, gdy wszystkie przedmieścia Krakowa zostały przez Moskali spustoszone, jeden jedyny klasztor OO. Kapucynów został nietknięty, mimo, że był położony poza murami miasta. Podobnie ocalała siedziba OO. Kapucynów wraz z kościołem w r. 1794 przy zdobywaniu Krakowa przez Moskali i Prusaków i podczas wielkiego pożaru w r. 1850.

W kościele tym odbyła się, jak już wspomniano na początku, 24. III. 1794 r. uroczystość poświęcenia pałacza Kościuszki. W 26 lat wcześniej, to znaczy w r. 1768 miało tu miejsce inne wydarzenie. 12 sierpnia tego roku wpadli nagle Moskale na chór kościelny i znieważyli czynnie zebranych na modlitwie mnichów, zabierając dwóch z pośród nich ze sobą. W tym samym dniu Moskale zabili tuż przed bramą kościoła 12 ludzi, w tem trzech Konfederatów barskich. OO. Kapucyni, którzy sprzyjali Konfederacji, pochowali poległych w miejscu gdzie padli. Razem z Konfederatami pogrzebano we wspólnej mogile zamordowanych również przez Moskali dwóch 11-letnich chłopczyków, dwóch włościan, jednego mieszczanina krakowskiego, jednego stróża miejskiego, oraz trzech zabitych, o nieznanem nazwisku, jak mówi kronika klasztorna. Na wspólnej mogile wzniesli zakonnicy krzyż drewniany, który przetrwał do dziś dnia. — Dawniej było w Krakowie trzy mogiły Konfederatów barskich. Niestety, po dwóch z nich ślad nawet zaginął. Ostała się ta tylko, którą opiekowali się i do dziś dnia opiekują OO. Kapucyni.

Zwiedzający kościół podążają zwykle ku niemu od strony plant, krótka ulica zwana Kapucyńska. Na progu tej ulicy, na środku jezdni, zwraca uwagę wznosząca się na około 4 metrowej kolumnie piękna barokowa figura Królowej Korony Polskiej. Kronika klasztorna mówi, że 2 września 1795 roku, na miejscu gdzie dzisiaj figura Matki Boskiej, postawiono na marmurowej kolumnie nową statuetkę św. Franciszka w miejsce starej zniszczonej, stojącej na tej samej kolumnie przez lat 45. Ta nowa statua św. Franciszka wykonana została przez rzeźbiarza Galle, z tak lichego materiału, że już w dwa lata później w r. 1797 popełkała. Owczesny gwardjan O. Marcell dowiedziawszy się — jak mówi kronika, — że przed bramą kościoła Mariackiego znajduje się statua Matki Boskiej, pięknej roboty i że statua ta zostanie z przed kościoła usunięta, ozdabił bowiem brame cmentarza, który okalał wówczas kościół, usunięta, ozdabia bowiem brame ma ulec rozbiórce, podjął starania w kierunku zdobycia tej figury. W owym czasie nadarzyła się ku temu sposobność, gdyż przeznaczony na rozbiórkę

mur wraz z bramami postanowiono sprzedać na licytacji. OO. Kapucyni skorzystali z okazji i nabyli figurę za złp. 6. Figura ta liczyła już wówczas lat 70. Gdy ojcowie Kapucyni weszli w posiadanie figury podniósł swe pretensje do niej Prałat kościoła Mariackiego. Sprawa oparła się o sąd, który przyznał figurę OO. Kapucynom, a ci ustawili ją na nowej kolumnie, w miejsce gdzie dawniej stała figura św. Franciszka.

Tak przedstawia historię pięknej figury, witającej przechodnia u progu ulicy prowadzącej ku kościołowi OO. Kapucynów, kronika tego klasztoru. Inaczej nieco oświetlają ją inne źródła.

Sam kościół niewielki jest i nader skromny, stosownie do surowej reguły zakonu. Wejścia do niego strzegą kamienne postacie Matki Boskiej Loretańskiej i św. Jana Nepomucena. — Jeszcze przed wejściem do kościoła — co jest dla niego charakterystyczne, — spotykamy pamiątki, po tych, którzy w najkrytyczniejszych chwilach Rzeczypospolitej ratowali honor Polski. Pierwszą z pośród nich jest kolumna z urną Piotra Świdzkiego, pułkownika Legji Nadwiślańskiej, który walczył pod Kościuszką i Dąbrowskim. W krunce pomnik wystawiony dla generała J. Wodzickiego, poległego w roku 1794, w boju pod Szczekacinami; następnie tablica wielkiego patrioty Wł. Jabłonowskiego i wiele innych. A dalej w nawie głównej tuż nad drzwiami pomnik dla Władysława Rawicza, syna bankiera, który cały majątek oddał sprawie narodowej, powieszono przez Moskali w r. 1863 w Siedliskach, przed oknami rodzinnego domu. Marmurowe wspomnienie po Leonie Rzewuskim, poległym w 1831 w bitwie z Moskalami pod Daszowem, brązowe popiersie sybiraka Wł. Krawieckiego i wiele innych nagrobków i tablic. Są wśród nich wspomnienia po fundatorach i osobach dla kościoła i klasztoru zasłużonych, przeważnie jednak pamiątki po ludziach, którzy swe sily, majątek i życie poświęcili sprawom narodowej. Ściany kościoła OO. Kapucynów to marmurowy skrót historyczny tych czasów nieszczęsnych, w których wiele i można przeczłszy do obozów Targowicy zrzucały z siebie trud ratowania ojczyzny

na barki maluczkich. To też wśród nazwisk wrytych na tablicach i nagrobkach w kościele OO. Kapucynów niema imion wielkich i sławnych.

Dostojnie w tym skromnym kościółku, wśród drogiej pamiątek, wyglądają ołtarze św. Kajetana, z pięknym obrazem pedzła Piotra Dandini, ołtarz św. Feliksa, patrona dzieci. W wielkim ołtarzu obraz Zwiastowania. N. Marii Panny. Po stronie Ewangelji znajduje się jedna jeszcze pamiątka naszych walk o niepodległość. 15 sierpnia 1768 roku, w czasie bitwy Konfederatów z Moskalami, wpadła do kościoła kula armatnia, nie wyrządzając żadnej szkody. Wmurowano ją w miejscu, w którym spadła, to znaczy koło ołtarza po stronie Ewangelji. Z innych ołtarzy zasługuje na uwagę ołtarz w bocznej kapliczce z cudownym krucyfiksem.

Z krunchity kościelnej na prawo prowadzą drzwi do korytarza, okalającego kaplicę Loretańską. Kaplica ta luźnie związana architektonicznie z kościołem, budowana była później od niego w latach 1712 do 1719 przez budowniczego Bażankę. W tej kaplicy odbyło się poświęcenie oręża Kościuszki. Na pamiątkę tego wydarzenia w setną rocznicę umieszczono na zewnętrznej stronie ściany kaplicy, od strony ulicy, tablicę z odpowiednim napisem. W kaplicy Loretańskiej zwraca uwagę Cyborium wykonane z biurka Jana III Sobieskiego.

Zwiedzenie cichego i skromnego kościółka OO. Kapucynów pozostawia niezatarte wrażenie. Zwiedzający, który zada sobie trud odczytania zacieraających się z czasem napisów na licznych tablicach i nagrobkach, pokrywających ściany kościoła, mimowolnie biegnie myślą ku tym czasem nieszczęsnym z których tyle wspomnień nagromadzono w jednej świątyni.

W okresie Wielkiej Nocy fala zwiedzających kościół OO. Kapucynów wzrasta. Podają ku podwojom tej świątyni cały Kraków, by pomodlić się u Bożego Grobu, który w żadnym z kościołów krakowskich nie jest przystronny tak wielką ilością kwiatów, wyhodowanych przez zakonników w cieplarni własnego ogrodu, jak u OO. Kapucynów.

AL. K.

Radjo wymaga umiejętnej reżyserji

Radjo, które codziennie przemawia tak niemal bezpośrednio do słuchaczy, jak ich najlepszy znajomy, otoczone jest jeszcze w świadomości wielu osób zasłoną niezgłębioną tajemnicy. Nie chodzi tu o techniczne zasady działania radja, te bowiem wymagają żmudnych studiów i specjalnych uzdolnień, ale o znajomość owych spacyficznych i odrębnych warunków, w jakich tworzą się artystyczne wartości radjofonji.

Teatr, z którym oswoił się już dawno, rozporządza całą skomplikowaną maszyną do wywoływania wrażeń. Maszyny te niejednokrotnie śmiesznie prymitywne uzupełniają grę aktorów. Wschody i zachody słońca, noc księżycowa, chmury, burza, błyskawice, pioruny, deszcz, śnieg, falujące morze i wiele, wiele innych rzeczy potrafią „zrobić” w teatrze tak dobrze, że widz zapomina o całej sztuczności widowiska i poddaje się w całości urokowi sztuki. W jeszcze większym stopniu operuje maszynami złudzeń kino. Fotografia pozwala na stosowanie takiej masy tricków, że widz zupełnie zapomina możliwość odróżnienia tego, co było fotografowane z natury, a co jest tylko zrecznie zastosowaną dekoracją.

Trudno zajmować się w krótkim artykule wszystkimi rodzajami tricków kinowych i teatralnych. Samo wyliczenie ich zajęłoby zbyt dużo miejsca. Zresztą są one przeważnie zawodową tajemnicą reżyserów, którzy na umiejętności wykorzystania tricków porobili kariery i majątek. Chodzi nam o inną rzecz o wykazanie, że każda nowa dziedzina sztuki wymaga nowych wynalazków w tej dziedzinie.

Dopóki radjo ograniczało się do nadawania muzyki i do transmisji odczytów sytuacja była prosta i nieskomplikowana. Dawało się przed orkiestrą mikrofon i przy stoliku prelegenta mikrofon — i koniec. Czy się utwór lub odczyt polubił, czy zrobił pożądaną wrażenie, to już jest rzecz artysty wykonawców lub zdolności mówcy.

Z chwilą, gdy radjo przystąpiło do transmisji całych przedstawień teatralnych, oper, operetek, rewij, a zwłaszcza z chwilą, gdy samo zaczęło w siebie organizować takie przedstawienia (które później nazwano słuchowiskami) sytuacja zmieniła się gruntownie. Proste zastąpienie mikrofonu już nie wystarczyło. W operze musi się ustawić solistów, by ich widoku nie zastaniali statyści, musi umieć wyznaczyć każdemu z grających miejsce na scenie odpowiednie do roli, którą kreuje, musi umieć ułożyć piękny i logiczny obraz.

Reżyser teatralny musi być przynajmniej trochę plastykiem. Nawet w operze, nawet w operetce, gdzie przecież wszystko zależy od muzyki i śpiewów, ugrupowanie postaci na scenie, zastrój ich z tłem dekoracyjnym, umiejętne wykreślenie planów pierwszych i dalszych dla polepszenia stopnia scenicznego hierarchii działających osób, waży bardzo poważnie na całości przedstawienia i świadczy bądź o umiejętności bądź o niedołęstwie reżysera. Widz bardzo chętnie poddaje się urokowi piękna, które płynie ze sceny, ale dopiero wówczas, gdy ułatwi mu to zreczny reżyser. Skomponowanie logicznego wyglądu sceny w każdej sekundzie przedstawienia jest nie mniej ważne od

samej pracy autora.

Reżyser radjowy jest w położeniu odmiennym. Musi zapomnieć o oczach widza i o oczach swych własnych. Nie plastyka ale akustyka jest dla niego podstawą wyrocznią. Obrazy muszą rysować mu się jako harmonja dźwięków, a nie jako wzajemne dopełnianie się lub kontrastowanie plam barwnych i kształtów. Wszystko co jest ciałem musi zniknąć, przetrzasnąć nie zniknąć, ale zamienić się w dźwięk tak różnicowany, aby oddawał dokładnie wrażenie kształtu, który reprezentuje.

Misterjum reżyserkiej roboty w radjo jest ciekawe. Dużo tu tricków i dużo pomysłowych podstępów. Studja przeważnie są przestarzałe, reżyser musi więc uzupełnić ich techniczne braki własną pomysłowością.

Poprawia się akustykę studja zbliżaniem i oddalaniem od mikrofonu wykonawców, robi się efekty akustyczne najróżnaitszymi przyrządami, używa się płyt gramofonowych z nagranyim szumem marmuru, z pedzącym pociągiem, naśladuje się szczekanie psa czy bek owcy i wiele wiele innych rzeczy.

Reżyser radjowy musi mieć wiele taktu. Często bardzo wiele aktorzy sceniczni nie posiadają warunków do występowania przed mikrofonem. Trzeba wpięć wypróbować ich głos, i wtedy aktorzy obrażają się. Przecież tyle lat pracują w teatrze, mają takie dobre recenzje... Zapominają, że mikrofon rządzi się swymi odrębnymi prawami, że czasem głos zupełnie niemożliwy na scenie wychodzi radjofonicznie, a europejskiej stawy śpiewak jest zupełnie w radjo nie do słuchania. (f.)

Z życia studentów w Ameryce

Wybrańcy losu, którzy zwiedzili wystawę światową w Chicago w ubiegłym roku, dużo mówią o rzucającej się w oczy ekscentryczności Amerykanów.

Studenci amerykańscy uchodzą za bardzo ekscentrycznych. Tylko ta ich ekscentryczność często ma głębsze podłoże, czasami powoduje ją bieda i konieczność.

Jak przeciętny biedny student europejski mniej chodzi, ażeby zaszanować buty, tak nawet najbiedniejszy student amerykański to samo musi robić — tylko trochę inaczej.

Sposób ten my nazywamy ekscentrycznym.

Żeby zaszanować buty (jeżeli nie mieszka na terenie Uniwersytetu) i zaoszczędzić opłaty na tramwaj, taki student zmuszony jest utrzymywać własne... auto. Po tem aucie i płaszczu nieprzemakalnym poznaje się każdego niezamożnego studenta.

Auto, płaszcz nieprzemakalny, fajeczka i guma do żucia są jego nieodstępnymi towarzyszami. Najbardziej oklepany afiszami cyrkowymi parkan nie ma tak barwnego i niesamowitego wyglądu, jak te studenckie auta i płaszcze nieprzemakalne.

Takie auto (marki bywają różne, ale przeważa Ford z 1920 r.) już na pierwszy rzut oka wygląda malowniczo na wspaniałych bulwarach, na których mijają się ze lśnąciami limuzynami i piękniemi, jak cacka autami sportowymi. Student, który nie urodził się „ze srebrną łyżką w ustach” musi być i jest zadowolony ze swego gruchotu.

Kupuje się Forda, używanego ponad 5 lat, byle z dobrym motorem. Najczęściej brak jednych drzwiczek, maszyna jest niekryta i nie ma latarń ani szkła. Cena — 5 dolarów.

Później kupuje się conajmniej 10 puszek farb do malowania, każda w innym kolorze, co wynosi pół dolara, głosią błyszcząca trąbkę za 50 ct. — i całe auto z koniecznymi wymaganiami przez kodeks karny dodatkami wychodzi najwyżej na 10 dolarów. Najmilszem i najbardziej emocjonującym zajęciem dla każdego studenta, jest malowanie auta. Czy przyszły as futbolowy, czy zwykły śmiertelnik — każdy robi to własnoręcznie. Poświęciwszy poranek niedzielny, ubiera się w stare osmarowane overalle (żeby matka przypadkiem nie wpędziła do kościoła) i przed domem przy pomocy kolegów i asyście gapiów zaczyna się robota. Co trzy to nie jedna głowa i co sześć to nie dwie ręce. Maluje się front auta w barwach danego uniwersytetu, jedną połowę na żółto, drugą na bordo, później na żółtej połowie, jeśli student jest członkiem Alpha chi, zielony wieniec, a na połowie bordo białego gołębia. Teraz kolej na koła. Każde koło otrzymuje kolory klubów, do których należy właściciel, drzwi i boki auta są przeważnie w jednym kolorze. Przeważa zawsze kanarkowy, który się najlepiej nadaje na tło, bo przecież to jeszcze nie koniec. Tęczowy płaszcz auta pokrywa się rozmaitymi dowcipami, autografami, karykaturami i rysunkami.

„Girls have a lift” (dziewczę przejedź się) — ten zapraszający napis czyta się prawie na każdym aucie, którego właścicielem jest mężczyzna.

Ponieważ podatki są bardzo małe, benzyna tania, licencję można uzyskać po dwunastym roku życia, auto kosztuje studenta dziesięć razy taniej, ani-

żeli zniżka tramwajowa, bo przeważnie po dwóch kolegów ponosi wspólnie koszt.

Płaszcz nieprzemakalny jednak każdy ma własny — są one już w jednym tonie, jasnoczerwone, zielone, niebieskie, ale ponieważ żółty jest najlepszym tłem na rozmaite dowcipy i napisy, cieszy się największą popularnością wśród studenterji.

Studentka amerykańska nazywa się od wyrazu Coeducation koedka (coś, jak u nas koleżanka). Koedki są popularne i stanowią — po gwiazdach filmowych — drugą wyrocznie mody.

Moda panująca na kampusie (teren uniwersytecki) króluje wśród wszystkich podlotków, panierek sklepowych i uczennic szkół średnich. Nawet te uczennice przychodzą na wykłady — mocno uszminowane, w jedwabiach i satynach, w skróconych sukniach balowych swych starszych siostr, nasze dziewczynki w mundurkach wyglądają więc dość szaro.

Pomimo pozorów i powierzchownej ekscentryczności życie studentów amerykańskich jest bardzo cnotliwe. Brzmi to niewiarygodnie, ale w istocie tak jest.

Fair play jest jednym z głównych przykazań, nie tylko w teorii, ale właśnie w praktyce. Student amerykański kocha bardzo swoje uczelnie i potrafi walczyć o honor swych barw. Wystarcza jedna niehonorowy postępek, aby się stać zupełnie izolowanym na przeciąg całego dalszego pobytu na uniwersytecie.

Przypuśćmy, że dwóch najserdeczniejszych przyjaciół, sidząc obok siebie na egzaminie, opracowuje ten sam temat i jeden z nich nie potrafi rozwiązać danego zadania. Książki podczas egzaminów ma się przy sobie.

A przecie byłoby największym przestępstwem przyjąć rozwiązanie zadania od kolegi lub zajrzeć do książki.

W razie udowodnienia czegoś podobnego, sąd koleżeński bywa niezmiernie surowy. Następuje wydalenie z klubu, a jeżeli przewinienie zaszło przy głównym egzaminie, z uczelni. (Uniwersyte-

ty w Ameryce prowadzone są na wzór naszych średnich szkół. Każdy profesor, na każdym wykładzie sprawdza listę obecnych, a zbyt częsta nieobecność uniemożliwia zdawanie egzaminu.)

Zależnie od egzaminów, które odbywają się trzy razy w każdym semestrze, student uzyskuje stopień. Jeżeli ktoś przepadł w którymś z poprzednich, może to nadrobić na kursie wakacyjnym, a jeśli ma się dobrą notę z wszystkich przedmiotów, dopuszczonym się jest na kurs wakacyjny na 2 przedmioty główne a 2 nadobowiązkowe, co w nowym roku szkolnym posuwa studenta o semestr wyżej i zamiast w 5 do 6 lat uzyskuje się dyplom po trzech lub czterech.

Dużo mówi się u nas o niższym poziomie amerykańskiego wykształcenia. Jest w tem dużo racji, jeżeli się weźmie pod uwagę amerykańskiego studenta — ogólny poziom intelektualny będzie równy poziomowi naszego absolwenta gimnazjalnego. Powodem tego jest, że Amerykanie specjalizują się przeważnie w jednym kierunku.

Ktoś może być świetnym technikiem a nie mieć pojęcia, gdzie jest Zatoka Biskajska. Kto ma zamiar zostać lekarzem, ten już w gimnazjum zapisuje się na Wydział General Science lub na farmację. Kto nie ma ochoty chodzić na ten kurs ogólny nauk ścisłych, a marzy o karierze giełdowej, zapisuje się na Kurs Handlowy również już w Gimnazjum. Jednym słowem każdy już w szkole średniej uczy się najczęściej przedmiotów, mających coś wspólnego z jego przyszłym zawodem. Amerykanie bardzo wcześnie myślą o swej przyszłości.

Wielu twierdzi, że na ich uniwersytetach dominuje sport. Przecież biedni Amerykanie muszą coś mieć! Europejskiego studenta bawi polityka, amerykański student mało się nią zajmuje i bardzo słabo orientuje się w polityce europejskiej, a swoją własną zajmuje się na miesiąc przed wyborami, kiedy do butonierki wsadza miniaturowy portret na szpilce, kandydata partji, z którą

jest związany jego Old Man (ojciec).

Dziwna rzecz, że poglądy polityczne są tam najczęściej dziedziczne. Zamiast walczyć pałkami studenci zakładają się między sobą po dolarze, który kandydat zwycięży.

Obojętne zresztą, o co zakład — czy o przyszłego prezydenta, czy o dobrą klaczkę arabską, wszystko jedno, byle wygrać. Każdy ma swoje „Hobby”.

U nas wre i kipi polityka, prądy antyżydowskie, a studenci amerykańscy mają tylko swoje mecze baseballowe i footballowe.

W sezonach meczów footballowych często niema wykładów. Rektorat ich nie zawiesza, ale się to robi samo automatycznie. Jeżeli odbywa się między dwoma uniwersytetami, jedna połowa studentów jedzie na mecz do sąsiedniego miasta, a druga połowa, rozporządzając skromniejszymi środkami, pozostaje w domu i słucha wyników przez radio.

Przeważnie, aby móc zajmować się sportem, student musi mieć dobre postępy ze wszystkich przedmiotów. Ale gdy raz stanie się gwiazdą, stara się utrzymać ten zaszczytny, dużo obiecujący tytuł i zaniedbuje wszystko inne. Jest pewny siebie, bo wszyscy są za nim, profesorowie patrzą na wyniki jego pracy przez palce i w rzeczywistości jakoś kończy studia. Jeżeli jest przystojny, może śmiało zostać aktorem filmowym z gażą sto razy wyższą od płacy swego profesora.

Dużo zależy od reklamy.

Amerykanie nie uchodzą za sentymentalnych, ale wystarczy, aby najbardziej nieczuły i obojętny na ludzką niedolę **businessman** spotkał gdzieś w biedzie absolwenta tej samej uczelni, pójdzie za nim w piekło, a gdy usłyszy hymn swego uniwersytetu, nawet przez radio stają mu łzy w oczach.

Choćby w danej chwili zajęty był największymi nawet transakcjami handlowymi, zjawi się zawsze na Zjeździe Koleżeńskim swej Alma Mater.

Dziwni są ci Amerykanie, lecz w gruncie rzeczy nie tyle dziwni, ile praktyczni.

Emilja Kicmalówna

Teatr rumuński

W epoce rumuńskiego odrodzenia, z początkiem minionego wieku, teatr rumuński służył przedewszystkiem propagandzie narodowych rewindykacji. Dlatego też poświęcano specjalną uwagę wszelkim manifestacjom sztuki dramatycznej, pamiętając zawsze, że teatr jest nie samem tylko miejscem rozrywki, lecz propagatorem nowych idei. Naród rumuński, biorący od niedawna stosunkowo intensywny udział w światowym ruchu umysłowym i kulturalnym, może poszczycić się pięknymi sukcesami również i na polu sztuki dramatycznej. Na czele kroczy tu Ion Luca Caragiale, artysta, naturalista, satyryk, który w epoce, gdy większość autorów dramatycznych uprawiała przedewszystkiem dramaty historyczny lub romantyczny — wzbogacił repertuar rumuński potężnymi dziełami, o znakomitej konstrukcji. Do dziś dnia też Caragiale (zmarły w r. 1912) uchodzi za największego dramaturga rumuńskiego.

Jakkolwiek społeczeństwo rumuńskie bardzo szybko zasmakowało w teatrze — i jakkolwiek już przed wojną poszczególne prowincje posiadały swoje własne teatry narodowe (Jassy, Craiova), to jednak całe życie teatralne koncentrowało się zawsze w Bukareszcie, gdzie też teatr doszedł do pełnego, najwyższego rozkwitu.

Teatr rumuński rozwijał się za poparciem rządu i publiczności; o jakiejś inicjatywie prywatnej nigdy prawie mowy nie było. Piękną postacią z lat przedwojennych był bezwątpienia Aleksander Devilla, arystokrata, dyplomata, urodzony miłośnik teatru.

Devilla (zmarły w r. 1929) odmłodził w swoim czasie zupełnie repertuar, oswobodzając go z melodramatu, wodewilu i dramatu romantycznego. (Nawiasem mówiąc Devilla jest sam autorem najlepszego dotychczas dramatu historycznego wierszem: „Vlaicu-Vida”).

Dzięki niemu zdobywa sobie stopniowo prawo obywatelstwa w Rumunii francuski dramat salonowy i komedia bulwarowa.

Dopiero po wojnie teatr rumuński poczyną zajmować się żywiej aktualnymi problemami sztuki dramatycznej, zarówno o ile idzie o samą technikę twórczości jak i o inscenizację.

W repertuarze teatru bukareszteńskiego zjawiają się dzieła najwybitniejszych dramaturgów współczesnych: Strindberga, Hoffmannsthal, Shaw, a dramaty Ibsenowski zdobywa coraz więcej miejsca. W ślad za tem i inne teatry poświęcają większą uwagę twórczości najnowszej. Teatr „Regina Maria”, kierowany przez pierwszorzędnymi artystami, wystawia wszystkie nowości obcych scen, interpretując

je na swój sposób, oryginalny i nowy, przy zupełnie współczesnej inscenizacji.

Równocześnie wzrasta rodzima twórczość dramatyczna. Próbuje się najrozmaitszych formulek: sztuki fantastyczne, dramaty liryczne, realistyczne, ekspresjonizm, feerie, nawet dramaty historyczne. Dominuje jednak dramat psychologiczny.

Cechą charakterystyczną społeczeństwa rumuńskiego jest pewna nerwowość dająca się porównać z nerwowością publiczności francuskiej i włoskiej, wobec dzieł o wątpliwej konstrukcji technicznej. Taż sama publiczność jednak okazuje bardzo żywe zainteresowanie dla autorów, którzy w ramach swych dzieł zajmują się ogólnoludzkimi, doniosłymi zagadnieniami. Tem się tłumaczy powodzenie sztuk np. Bernarda Shawa w Rumunii.

Taksamo i Szekspir stał się już od dawna ulubieńcem publiczności rumuńskiej, a Teatr Narodowy w Bukareszcie wprowadził do swego stałego repertuaru niemal wszystkie dzieła wielkiego angielskiego dramaturga.

Naogół publiczność rumuńska, a zwłaszcza bukareszteńska, przyzwyczajona już do doborowych spektaklów, jest bardzo wymagająca. Sprawdzi sumiennie prawdziwe walory każdego dzieła, decydując o jego sukcesie lub niepowodzeniu.

W świecie artystów dramatycznych istnieje niezaprzeczone pewna tradycja, co jest może jedną z najoryginalniejszych cech teatru rumuńskiego. — Tradycja ta ma swoje początki w zetknięciu się aktora z dramatem rumuńskim, w szczególności z teatrem Caragialego. Dzisiaj mało się już widuje na scenie interpretatorów tego teatru. Ale młodzi artyści przejęli od tamtych tradycję autentycznego stylu rumuńskiego tego stylu, który obserwować można zawsze, ilekroć aktor rumuński ma do czynienia z wartościową sztuką narodowego pisarza.

Jak wszędzie, tak i w Rumunii,

film, zwłaszcza film dźwiękowy, pociągnął za sobą upadek teatru, mimo bardzo żywej działalności twórczej ze strony takich organizacji jak Towarzystwo pisarzy, Syndykaty zawodowe i t. p.

Można jednak mieć nadzieję, że sztuka żywego słowa odniesie w końcu tryumf, że teatr rumuński, mogący się już poszczycić pięknymi wynikami w ciągu swej stosunkowo krótkiej egzystencji, będzie miał do zapisania niejedną jeszcze piękną kartę zarówno w dziele sztuki dramatycznej jak i w inscenizacji.

Wystarczy wymienić kilku dzisie-

szych najwybitniejszych twórców, jak: Victor Eftimiu, pisarz niesłychanie płodny i wszechstronny, Gib Mihalescu, autor potężnego dramatu „Pawilon cieni”, Adrian Maniu, którego sztuka „Stalowe wilki” zyskała w ubiegłym roku wspaniałe powodzenie. Victor Ion Popa, oryginalny reżyser i dramaturg, G. Ciprian, którego sztuka „Człowiek ze szkapą” miała duże powodzenie w Berlinie, i inni.

I. M. Sadoveanu
generalny dyrektor Teatrów
rumuńskich.

Co to jest przeziębienie?

Przeziębienie w rozumieniu szerszego ogółu oznacza głównie katar nosa, gardła, tchawicy, których szczególnie łatwo dostają się na wiosnę i w jesieni w związku z częstymi i znacznymi wahaniami temperatury. Takie rozumienie nie daje ścisłego określenia istoty tego zjawiska, gdyż ograniczając je do katarów górnych dróg oddechowych, tem samem znacznie ogranicza ilość spraw chorobowych, w powstawaniu których przeziębienie gra rolę, ponadto takie pojmowanie przeziębienia przez ogół wynika jak zobaczymy dalej, z utożsamiania i nieodróżniania dwu zjawisk, z których jedno — działanie zimna gra rolę czynnika ułatwiającego powstanie drugiego — właściwej choroby.

Przeziębienie nie jest chorobą, lecz tylko czynnikiem chorobotwórczym — szkodliwym działaniem zimna na ustrój, które tylko w pewnych warunkach wywołuje w organizmie zmiany, sprzyjające wystąpieniu choroby. Działanie zimna jest wogóle szkodliwe dla ustroju.

Po pierwsze wpływa ono bezpośrednio na ustrój: 1) hamuje jego procesy życiowe i ostatecznie powodując obniżenie ciepłoty ustroju, która zależnie od stopnia może prowadzić nawet aż do śmierci. 2) Działa na aparat nerwowy, wywołuje zaburzenia w jego czynnościach: ból głowy, porażenie nerwów (np. n. twarzowy), nerwobóle, porażenia nerwów naczynioruchowych itp.

To drugie działanie pośrednie na ustrój ujawnia się pod postacią wywołania akcji życiowej świata bakterjalnego normalnie gnieżdżącego się w organizmie (błony śluzowej, górnych dróg oddech., jamy ustnej, gardła...), cyhającego na każdej okazji, by rozwinąć swą szkodliwą działalność. Zimno stwarza przez osłabienie odporności organizmu na zakażenie (porażenia fagocytów, zmniejszenie się ilości substancji ochronnych działających bakterjodobczo i uszczelnienie błon śluzowych...) sprzyjające warunki dla rozwoju bakterji i stąd wystąpienia danej choroby. Z chorób tych niektóre są wywołane przez bakterje swoiste (np. włóknikowa zapalenie płuc, grypa), inne zaś jak katar nosa, zapalenie gardła, katar krtani, oskrzeli — wywołują bakterje nieswoiste.

Ustrój broni się przed tem wielostronnem szkodliwym działaniem zimna przez tzw. regulację cieplną. Przedewszystkiem zmniejsza się utrata ciepła, co uzyskuje się przez zwężenie naczyń skórnych, — jest to pierwszy objaw akcji obronnej organizmu. Równocześnie ze skurczem naczyń skórnych rozszerzają się naczynia narządów wewnętrznych (płuc, wątroby, serca) i mięśni szkieletowych.

Gdy ta akcja obronna nie wystarcza dla utrzymania temperatury ciała w granicach normalnych, — wtedy ustrój prócz zmniejszenia utraty ciepła, zaczyna ponadto zwiększać produkcję ciepła, a to przez pracę mięśni, których napięcie i pobudliwość wzrasta pod wpływem miernego zimna, — co objawia się jako ruchy dowolne lub jako drżenie. Stwierdzono, że gdy mięśnie spoczywają, a więc nie wytwarzają znacznej ilości ciepła, to organizm jednak pomimo to zwiększa wytworzenie ciepła drogą ośrodka nerwowego

kierującego gospodarką cieplną. Gdy zmniejszenie utraty ciepła i zwiększenie wytwarzania ciepła zawodzą, — wtedy następuje oziębienie ustroju. Jego temperatura spada poniżej poziomu normalnej temperatury. Zależnie od wielkości tego obniżenia się temperatury ustrój ginie lub powraca stopniowo do normy. To oziębienie się ustroju może nastąpić nie tylko w zimnym otoczeniu, ale i w temperaturze pokojowej po znacznym oziębieniu przewodu pokarmowego np. przez polykanie dużej ilości lodu.

Mniejsza lub większa wartościowość mechanizmu obrony ustroju przed szkodliwym działaniem zimna stanowi o jego stopniu wrażliwości na zimno i stąd większej lub mniejszej skłonności do zaziębień. Mechanizm obrony może być już z urodzenia mniejszej wartościowości, lub też może być osłabiony później przez czynniki szkodliwe. Z czynników tych należy wymienić wilgoć, wiatr wzmagaający szkodliwe działanie zimna, — dalej ogólne osłabienie ustroju, choroby, zatrucia, które zmniejszają wogóle siły obronne ustroju, więc ułatwiają szkodliwe działanie zimna.

Na czym polega mniejsza lub większa wartościowość regulacji cieplnej ustroju? Dużą rolę odgrywa tutaj wrażliwość układu naczynioruchowego, a mianowicie: szybkość z jaką występuje początkowa reakcja ustroju na zimno, tj. szybkość powstawania skurczu naczyń skórnych i czas przez jakę skurcz ten się utrzymuje. Jak wspomniano wyżej, skurcz ten wiąże się z równoczesnym rozszerzeniem się naczyń niektórych części odległych i stąd z ich przekrwieniem. Jeżeli to przekrwienie utrzymuje się przez czas dłuższy — może powodować szkodliwe następstwa. Skurcz naczyń skórnych jest tem intensywniejszy im bardziej były one rozszerzone tuż przed skurczem, dlatego ludzie

nie mogą ogrzać, a więc z silnie rozszerzonymi naczyniami skóry, wystawieni na zimno ulegają bardzo łatwo szkodliwemu jego działaniu.

Właściwym jednak czynnikiem chroniącym od zimna jest nie początkowy skurcz naczyń skórnych, lecz następowe ich rozszerzanie się. Im szybciej ono powstaje i dłużej utrzymuje się, tem słabiej działa zimno na skórę i tem trudniej wywołuje wspomniane odruchowe zaburzenia części odległych.

Wynika stąd, że ludzie z układem naczynioruchowym zbyt wrażliwym, więc reagujący zbyt silnym i długo utrzymującym się skurczem naczyń skórnych i błon śluzowych na bodźce zimna, — mają wyraźną skłonność do zaziębień, gdyż ta właściwość ich układu naczynioruchowego uniemożliwia im należyte wykorzystanie dalszego aktu obronnego, — a zatem czynniki chorobotwórcze uzyskują przewagę. Są to wogóle ludzie odznaczający się nerwową, łatwo pobudliwą konstytucją. Między innymi świadczą o tem prace prof. Schmid'a.

Badania tego profesora nad mechanizmem powstawania kataru u osób odpowiednio usposobionych (ze zbyt wrażliwym układem naczynioruchowym) potwierdzają też słuszność twierdzenia o szkodliwym wpływie długo trwającego skurczu początkowego naczyń skórnych lub błon śluzowych po zadziałaniu zimna. Jeżeli osobnik odpowiednio usposobiony zostanie wystawiony przez dłuższy czas na ochłodzenie, — naczynia skóry i błon śluzowych górnych dróg oddechowych kurczą się podobnie jak u osobnika nie skłonnego do zaziębień. Skurcz ten jednak u osobnika odpowiednio usposobionego trwa zbyt długo, bo ponad 20 minut. W związku z tem utrzymuje się długo zbyt silne niedokrwienie śluzówek, skutkiem czego siły obronne śluzówek wobec zawsze znaj-

dujących się tam drobnoustrojów malują, zaczem następuje rozwój tych bakterji i stan zapalny śluzówki.

Pomiary cieplne śluzówek wykazały, że powyższe zmiany ukrwienia śluzówek — zbyt długo trwający skurcz naczyń, zdarzają się tylko u pewnej grupy ludzi, w przybliżeniu u 10 procent badanych.

Zaziębia się jednak nie tylko człowiek o nerwowo chwiejnym układzie naczynioruchowym, ale też człowiek w zwykłych warunkach, zupełnie normalny i nie osłabiony poprzednio przez jakąś chorobę lub inne czynniki szkodliwe. Następuje to wtedy, gdy zbieg okoliczności sprawi, że jego układ naczynioruchowy nie podda swemu zadaniu. Naprzykład po silnym porażeniu nerwów naczynioruchowych przez nagłe zadziałanie bardzo zimnej wody, przez zddziałanie jadu, narkotyków itp. Lekki przeciąg, którego się nie odczuwa, jest niebezpieczny, bo nie wywołuje reakcji ustroju — regulacja cieplna nie zostaje zaalarmowana, więc ustrój niespostrzeżenie ulega zdradliwemu działaniu zimna, a jako następstwem mamy przeziębienia, porażenia nerwów, bóle głowy itp.

Układ naczynioruchowy, nawet najbardziej sprawny, zawodzi, gdy ulegnie osłabieniu przez częste i szybko następujące pobudzenia do odruchowej czynności obronnej, — zwężania i rozszerzania naczyń: Wiadomo, że powietrze w jamie nosowej i ustnej ogrzewa się do 30° i nasycza się parą wodną; wtedy dopiero przechodzi do dalszych dróg oddechowych. Otóż na powietrzu zimnym, zwłaszcza przy wysiłkach fizycznych, gdy oddechanie jest wzmożone, ilość powietrza dostającego się do górnych dróg oddechowych, znacznie się zwiększa. Dla ogrzania tegoż wzrasta zapotrzebowanie ciepła — ciepła tego dostarczają rozszerzające się naczynia błon śluzowych górnych dróg oddechowych.

Wahania temperatury w tych drogach są b. znaczne, sprawność naczyń tych błon śluzowych jest w tym wypadku wystawiona na ciężką próbę, gdyż rozszerzenie się naczyń w celu ogrzania powietrza i następowe zwężenie się pod wpływem świeżego zimnego prądu powietrza muszą następować bardzo szybko po sobie, a stopień tego rozszerzenia się i zwężania jest tak duży. Nie dziw więc, że w końcu ta regulacja zawodzi. Pomimo bowiem bardzo bogatego unaczynienia górnych dróg oddechowych, powietrze nie ogrzewa się dostatecznie i nie ogrzane dostaje się do dalszych dróg oddechowych. A wynikiem tego mogą być rozmaite szkodliwe zmiany, wywołujące choroby. N. O.

Ciekawostki ze świata

Szybki wymiar sprawiedliwości

Pewna Angielka, podróżując po Włoszech, kupiła w Rzymie za 3.800 lirów zegarek, rzekomo platynowy. Wróciwszy do kraju, zapragnęła mieć na kopercie monogram. Przy tej sposobności dowiedziała się od rytmika, że zegarek jest ze znacznie tańszego materiału. Postanowiła tedy szukać sprawiedliwości, a nie wiedząc, do kogo się zwrócić, napisała wprost do Mussoliniego. W pięć dni później otrzymała urzędowy list od rządu włoskiego. W środku był czek na 3.800 lirów i następujące słowa: Rząd faszystowski ukarał jubilem zamykając jego sklep na wieczne czasy. Trzeba przyznać Mussoliniemu, że umie dbać o opinię handlu włoskiego i o ruch turystyczny.

Ile szampana wypito w roku zeszłym?

Statystyka konsumpcji szampana w trzech latach ostatnich przedstawia się, jak następuje:

R. 1931	— 12 milionów butelek.
R. 1932	— 18 milionów butelek.
R. 1933	— 23 milionów butelek.

Przyczyn tego wzrostu konsumpcji należy szukać w zniesieniu prohibicji w Stanach Zjednoczonych i w poprawieniu się sytuacji gospodarczej w Anglii, ale przede wszystkim w wypito w ostatnim roku więcej, niż poprzednich, szampana w samej Francji. Mianowicie kawiarnie wprowadziły jego sprzedaż na kieliszki po przy-

stępnych cenach. Zapotrzebowanie Stanów Zjednoczonych powiększa się nadal i z tego powodu handlarze win spodziewają się, że rok 1934 będzie rekordowym.

Tajne walki kogutów

Walki kogutów są od 80 lat zgłą wzbudzone w Anglii. Ale stara tradycja żyje po dziś dzień na północy i ludzie oddają się tam barbarzyńskiej rozgrywce, naturalnie w najgłębszej tajemnicy. Schodzą się w tym celu po polach i najczęściej wybierają na miejsce niedozwolonego hazardu zakryte za wszystkich stron doliny. Nad bezpieczeństwem ze strony policji czuwają rozstawieni naokoło strażnicy, których funkcja jest podwójna — sprowadzać organa władzy na fałszywy trop, i dawać sygnały. Jeżeli policja zanadto następuje na pięty, walki odbywają się w domach przy drzwiach zamkniętych. Zakłady na wynik jednej walki osiągają czasem wysokość 200 funtów szterlingów.

Jak wiadomo, jest specjalny gatunek „kogutów bojowych”, hodowany na terenie w Anglii jedynie w okolicy Bradfordu. Lecz miłośnicy walk sprowadzają ptaki do nich z Hiszpanji, gdzie sport ten kwitł niegdyś narówni z walkami byków. Podobno zapaśników przywziął się aeroplanami, lądującymi na odludnych polach Yorkshire i hrabstw sąsiednich.

Policja zajęła się w ostatnich czasach bardzo gorliwie walkami kogutów. Wyznaczono nawet nagrodę 100 funtów za

wykrycie jednego przedsiębiorcy. Wyniki jednak są dotychczas bardzo nikłe. Wszystko jest widocznie doskonale zorganizowane.

Wdowa po Dumas'ie

Z końcem lutego zmarła w Paryżu pani Dumas, wdowa po autorze „Damy Kamelowej”. Jej babka i ojciec byli członkami Komedji Francuskiej, odziedziczyła więc talent aktorski. Ostatni raz grała przed dziesięciu laty w sztuce meza „Pół światek”, odagranej ku uczczeniu setnej rocznicy jego urodzin, Aleksander Dumas Młodszy (1824—1895) znany jest jako autor dramatyczny, ale nie dorównał sławą ojcu, autorowi „Trzech muszkieterów” i całego szeregu powieści historycznych. Wdowa po nim oddawna prowadziła ciche życie na Avenue de Villiers w pobliżu parku Monceau. Ostatni raz widziano ją przed kilku miesiącami na otwarciu muzeum dumasowskiego w Villers Cotteret, gdzie urodził się Dumas Starszy. Do końca życia gorąco interesowała się sceną i opiekowała się młodemi artystkami. Z wielkiej urody pozostały jej i w starości prześliczne, żywe sąsiednie dziewczynki.

Z WYDAWNICTW

Z. Kossak Szczucka: Pątniczym szlakiem

Każda książka Kossak Szczuckiej, wzięta jest przez czytającą publiczność z radością, w tem przeświadczeniu, że cokolwiek wyjdzie z pod jej pióra będzie napisane nie tylko z prawdziwym talentem, ale i opracowane z doskonałą znajomością przedmiotu.

Książka p. t. „Pątniczym szlakiem” to opis podróży do Ziemi Świętej. Od czasu, kiedy nieznan bliżej pątnik z Gallii pierwszy opisał wrażenia ze swej pielgrzymki w r. 333, upłynęło szesnaście wieków i setki tysięcy ludzi odbyło podróż w rozmaitych warunkach. Między pielgrzymem wędrującym z tykumą na wodę, a kiju pątniczym, a dzisiejszym podróżującym, zaopatrzonym w znaczek Francopolu — wielka różnica. Ale ten sam cel i te same drogi...

Opis podróży morskiej, a zwłaszcza wyspy Rhodos, z cudowną roślinnością i wspaniałymi gmachami z czasów, gdy wyspa była siedzibą rycerzy zakonu Joannitów — bardzo zajmujący. — Niezmiernie barwne opisy Aleksandrii, Kairu a zwłaszcza piramid przenoszą czytelnika w te kraje, pełne tajemniczych zabytków odległej przeszłości, wobec których staje się jak przed zagadką, niemożliwą do rozwiązania.

W Kairze znajduje się półtora tysiąca meczetów, które jednak mało są odwiedzone przez wiernych. Mahometanin jest fatalistą — hołduje zasadzie że: co ma być, niech będzie. — więc po cóż się modlić.

Część Kairu zamieszkała przez Koptów, jest mniej efektowna, ale posiada Muzeum Koptyjskie, piękne jak baśń Wschodu, zawierające prastare obrazy, sprzęty, papirusy z IV w. ozdoby wykonywane nieznaną dziś sztuką, witraże z barwionych kryształów. Kościół datujący się z III wieku, jeden z najstarszych w Chrześcijaństwie, porównać można do przedziwnej skatuli z hebanu i kości słoniowej, ale zgromadzeni wierni zachowują się podobnie do przakupniów, których Chrystus wypędził ze świątyni jerozolimskiej.

Wjazd do Azji odbywa się prawie bez nowych wrażeń, bo widoki nie zmieniają się: tu i tam pustynia, aż do Idumei. Tu już ziemia urodzajna, gaje pomarańczowe, a na pagórkach kolonie żydowskie, przypominające polskie folwarki. Roślinność niebawem znika ukazując się nędzną wioski arabskie. To Judea.

Stara Jerozolima, w przeciwieństwie do nowej ze wspaniałymi hotelami nie różni się prawie od tych czasów, gdy Chrystus tam żył i nauczał. Sposób budowania pozostał ten sam i podróżnik zastraca miarę czasu, lecz równocześnie nie może pojąć, dlaczego tu tyle rzeczy wygląda inaczej, niżeli czytał w starych księgach? Odpowiedź niestrużna: stało się tak z powodu podniesienia się gruntu o kilkanaście metrów. Grunt narósł warstwą ruin. Na starożydowskich powstały budowle rzymskie na rzymskich starożydowskich, wreszcie „krzyżowców” a potem dzisiejsza, arabskie. Nikt się nie troszczył o uprzątnię gruzów. Dziedzic twierdzy Antonia, na którym stał Chrystus, gdy był sądzony przez Pilata, został odkryty przy naprawie piwnicy klasztoru Panien Syjońskich. Wszystko tam jeszcze tak, jak było wtedy i wrażenie jest niezajmujące. Do Wieczernika, który stał się pierwszym kościołem chrześcijańskim, dostęp dla chrześcijan jest dozwolony za drogą opłatą, ale tylko do kraty żelaznej, po za którą nie wolno wejść „niewiernym” bo panami są tu muzułmanie.

Wybudowany przez rycerzy krzyżowców wspaniały kościół Grobu Świętego, strzeżony przez braci zakonu św. Franciszka, — został zniszczony pożarem w 1808 r. Nie było komu myśleć o odbudowie w czasie wojen napoleońskich — wreszcie odbudowują go prawosławni, starając się zatrzeć pierwotny zarys rzeźbienia romańskiego, oraz pamiętki po krzyżowcach. Jedno popsuł; drugiego nie wykończyli i tak jest do dziś. Jeruzalem w ręku chrześcijan, ale klucze od Bazyliki dzierżą muzułmanie i za wstęp do niej drogo się płaci. Kościół wewnątrz źle utrzymany, a ozdoby przypominające wnętrza prawosławnej cerkwi. Nie należy patrzeć, tylko wsunąć się na kolanach do Grobu, bo to przecież ten sam, choć wyzłobiony, a u wężłowia stoi kudłaty mnich grecki na straży. — Golgota, obniżona znowu znacznie wskutek wzniesienia się okolicznego terenu, robi również bolesne wrażenie. Wszędzie dowody zaniedbania, lub zeszpecenia

obrażające uczucia wiernych. Kościół Narodzenia zbudowany przez cesarową Helenę, ocalał prawie jedynie z budowanych przez nią świątyń, ale przedstawia się jako bezładny konglomerat budowli i również oddany jest prawosławny, którzy ozdobili wnętrza poswojemu, nie starając się usunąć brudu i śladów opuszczenia. Chciałoby się widzieć gróty w Belleem, jaką była gdy Matka Najświętsza położyła w niej Dzieciątka, niestety, wykłajono ją czerwonym aksamitem, ale cóż zrobić? jest przecież ta sama...

Niezmiernie ciekawą pamiątkę stanowi kościół wybudowany w Emaus przez Godfryda de Bouillon. Zamieniony po bitwie pod Hattin, przez wojska Saladyna na stajnię wielbłądów, powoli pokrywał się mchem, piaskiem, glazami i zamienił się we wzgórze, które porosło drzewami. Odkopano go w ciągu kilkunastu lat ostatnich i okazało się, że jest wcale dobrze zachowany. W tym kraju tylko to zostało uratowane, co skryła ziemia.

Wycieczka do Morza Martwego po przez pustynię Judzką, technie groza. Kamienne wzgórza leżą tak bezładnie i chaotycznie, jakby przez wieki kipiała i zastęgała tu lawa. Roślinność jest niezmiernie uboga za to istnieją warzelnie soli i jakiś Zakład Kąpielowy. Woda ma smak

wstrętny, jest gęsta i kleista, bo zawiera 24 procent soli.

W naszej wyobraźni Jordan musi być rzeką piękną jak Ren, a przynajmniej Wisła — w rzeczywistości jest błotnista i węższy od Warty, ale tu dokonała się jedna z wielkich tajemnic? Sądząca Betsaida istnieje do dziś, a na ścianach krużganka, w trzydziestu ośmiu językach powtarzają się słowa V. rozdziału Ewangelji św. Jana o chrzcie Pana Jezusa.

Polaków w Jerozolimie jest niewielu — Istnieje przecież Dom Polski i Polak zakonnik odprawia w malej kapliczce. Mszę św. Wśród naszej kolonii jest artysta malarz Tadeusz Rychter, poświęcający się badaniom archeologicznym.

Po bolesnych wrażeniach pobytu w Judei, wycieczka do Galilei rozwesela i podnosi duchowo. Dolina najżyźniejsza na świecie — Nazaret, gdzie Chrystus spędził życie w domu Rodziców „i był posłuszny”. — Piękna bazylika zbudowana na górze Tabor przez OO. Franciszkanów, ukończona głównie dzięki ofiarności katolików amerykańskich, cała z białego marmuru, a pośród splendoru mozaiki prosty ołtarz, z kościółka, który tu istniał niedługo.

Podróźni przyglądają się z upodobaniem harmonijnemu obrazowi, jaki tworzą

kobiety, noszące na głowie gliniane amfory, śliczne te naczynia, są powoli wypierane przez kwadratowe blaszanki z ben zynu, z napisem Mobiloil. — Cywilizacja wypycha kulturę.

Z Kafarnaum, nie pozostało nic, prócz ruin sławnej synagogi, której zniszczenie Chrystus przepowiedział. I nikt jej nie odbuduje, bo gdy próbowali to uczynić Anglicy, śmiertelne wypadki, jakie zaszły przy budowie, przerwały dalszą pracę.

Powrót pielgrzymki, sytej wrażeń, ale przygnębionej widokiem zaniedbania i zniszczenia, tyłu najświętszych pamiątek — odbywa się na rumuńskim okręcie Dajca. Po drodze zwiedzono Akropolis — wspaniałe szczątki dawnej świetności, niszczone w ciągu wieków. Wielkie szkody wyrządzili w XVII. wieku Wenecjanie Lord Elgin wywiózł najcenniejsze zabytki do Londynu — było też wielu innych drapieżców, ale mury Partenonu, choć ogłębione z rzeźb Fidjaszowych, stoją i żyją uwielbienie dla nieśmiertelnego piękna Gracji. Następny postój w Stambule.

Najcenniejszym zabytkiem jest tu dawny kościół św. Zofii, zszpeczony czterema minaretami, ale zawsze przedziwne piękno. Angielskie Towarzystwo archeologiczne otrzymało pozwolenie odkrycia mozaik z pod warstwy tynku i roboty są w toku. Wnętrze to ósmy cud świata.

Do kraju powrócono przez Rumunję.

Leontyna Paygertowa.

Daleki Wschód w kinie

Równie jak rosyjskie, hiszpańskie, arabskie, arktyczne czy równikowe — miały swój okres mody filmy dalekowschodnie. Przeważną część z pośród nich zaliczyć należy do bezwartościowej tandety kinematograficznej, w której produkcjowi przodowała Ameryka. — Mijająca jednak szybko, jak wszystkie mody filmowe, — moda na filmy dalekowschodnie pozostawiła przecież pewną ilość trwałych wartości i wybitniejszych osiągnięć artystycznych, czy to w dziedzinie gry aktorskiej, pomysłowości i inteligencji reżyserkiej, czy też w zakresie odtwarzania tła i ducha Dalekiego Wschodu. W pierwszej dziedzinie wybijają się na czoło kreacje aktorskie Richarda Barthelmussa, Nilsa Asthera i w pierwszym rzędzie Warnera Olanda; w drugiej — do Panteonu artystycznych osiągnięć filmu egzotycznego niewątpliwie zaliczyć należy „Shanghai Express” Sternberga, chińską część fantastycznego niemieckiego tryptyku „misterjum o śmierci (produkcji „Ufy” z Lili Dagover i Bernardem Goetzke) i dwa filmy sowieckie: „Burza nad Azją” Pudownika i „Błękitny express” Trauberga.

Naogół w odtwarzaniu czy to przez reżyserów — tła, scenerji i atmosfery tegoż Wschodu — uderza szablon i pływaczka, rzadko dbająca o wierność, o prawdziwość przeżycia psychicznego czy obrazu. Najczęściej tło dalekowschodnie wyzyskiwane bywa dla nadania większej sugestyjności najbardziej nieprawdopodobnym, sensacyjnym, awanturnym — bezmyślnym i nieprzekonywującym „budom” filmowym w rodzaju „Złotej Maski” — nawpół sensacyjnego dramatu, nawpół operatki filmowej, gdzie Warwick Ward — poza niezłą maską — nikogo z pośród najbardziej nawet nieświadomych i naiwnych nie przekona swą chińszczyzną, — lub w stylu „Masek dr. Fu-Manchu” — gdzie świetny skądinąd mistrz charakterystyki Borys Karloff — zamiast grozy — budzi kaskady weselne a mało zaszczytne dla filmu śmiechu swemi minami, rzekomo chińskim „zimnym, okrutnym” uśmiechem... i chińskimi torturami. Również i Myrna Ley w roli córki nowego Czingis-chana w niczem nie przypomina Chinki czy wogóle kobiety ze szczerpu mongolskiego.

Rzecz znamienna, że postać dr. Fu-Manchu raz poraz wraca na ekran i to — uśmiercania kilkakrotnie — po nowych wcieleniach, by z rzekomo typowym chińskim demonizmem mścić się, z majacymi krew mrozić w żyłach u widza, okrucieństwami na białych krzywdzielnach. Oprócz Karloffa i — trzeba to przyznać — znacznie lepiej od tego następcy Lon

Chaneya grywa rolę w każdym filmie za bijanego i w każdym nowym — zmartwychwstałego dr. Fu-Manchu — Warner Oland; a więc w „Tajemnicy dr. Fu-Manchu”, w „Zagładzie rodu mandarynów”, i w nakręcanym obecnie „Powrocie dr. Fu-Manchu”. Wszystko w tych filmach psychika chińska, mściwość okrucieństwo — wszystko — wraz z niezbędniemi dekoracyjnymi kostjumowaniami i mimicznymi akcesorjami — to, wyświechtany szablony, jakże odbiegający od rzeczywistości... — jest przecież Warner Cland bezprzecnie najlepszym pomiędzy „białymi” aktorami wykonawcą ról Chińczyków, — znacznie lepszym, niż poprawni zupełnie Barthelmess w „Złamanej ilji” lub Nils Asther w „Gorzkiej herbacie generała Yen”. — największy zaś triumf w roli Chińczyka odnosi on w „Shanghai Express”, gdzie świetnie gra dowódcę chińskiej armji powstańczej, zbuntowanej przeciw rządowi centralnemu.

Osobną wzmianką należy się autentycznym Azjatom, występującym w filmach europejskich czy amerykańskich na tematy dalekowschodnie. Są to: świetny odtwórca głównej roli w sowieckim filmie „Burza nad Azją” — Mongoł Inhiszyniów — pozatem Japończyk Sessuye Hayakawa i Chinka Anna May-Wong. Ta ostatnia cieszyła się jakiś czas ogromną popularnością w Ameryce i Europie, popularnością, chwilami zaściankową sławę Brygidy Helm czy Greta Garbo. Jest przecież zasadnicza różnica między przyczynami popularności Anny May-Wong, a tych dwu europejskich artystek. Oto zarówno Brygida Helm, jak Greta Garbo, jak potem Marlena Dietrich, jak każda zresztą aktorka europejska czy amerykańska europejskiego pochodzenia — zawdzięczają swą sławę, swe triumfy walorom czysto indywidualnym: urodzie, stylowi czy manierze gry, strojom itd. — tymczasem Anna May-Wong nie dlatego czarowała, że była sobą, ale że była Chinka... była kwiatem egzotycznym, przeszczepionym na grunt europejsko-amerykański, a więc kwiatem oryginalnym, ekscentrycznym, jaskrawie od tła odbijającym.

We wszystkich swych filmach jest ona jednakowa — i to jednakowa nie jako indywidualum, ale jako typ, typ reprezentantki pewnej innej rasy, innego świata...

Jak typowym, wyzbytym z indywidualności jest jej styl artystyczny — najłatwiej to dostrzec w filmie „Shanghai Express”. Na tle Chin, a więc w swojej własnej atmosferze aktorka ta nie uwidatnia się prawie wcale, niknie zupełnie, będąc wyłącznie podkreśleniem... jeszcze jednym podkreśleniem tła, — daleka od wyróżnienia się na tem tle, jak na tle swego środowiska wyróżnia się Greta Gar

bo czy Marlena Dietrich.

Wogóle aktorzy azjatyccy w kinematografii „białego” pochodzenia — to przede wszystkim typ, częstokroć świetnie skupiający w sobie cały świat pojęć o duchu swego egzotycznego narodu (np. Sessuye Hayakawa) — zawsze jednak tylko typy, a nie indywidualności twórcze. Nawpół groteską, nawpół historyczno-fantastyczną stylizacją tchną Chiny we wspomnianym już starym filmie „Ufy”, którego trzy części otwierają atmosferę trzech różnych środowisk: muzułmańskiego Bliźniwego Wschodu, Wenecji dołów i Chin. Chiny te podane zostały w formie niezwykłej plastycznej i świadczącej nietylko o wysokiej kulturze, ale i wnikliwej znajomości tła i dekoracyjności przeszłości chińskiej u reżysera.

Dzisiejsze Chiny z największym, a zarazem najbardziej plastycznym i wysoc artystycznym realizmem — pokazuje nam film sowiecki „Błękitny express”. Film to wybitnie propagandowy, skierowany przeciw panowaniu i wpływow „białych imperjalistów” na Dalekim Wschodzie — niemasz w nim ni fabuły, ni głównych bohaterów — ale całe to wszystko nie zliczone typy wprost świetne!... To naprawdę Chiny, naprawdę Chińczycy... i jakież — mimo tendencyjności i propagandy — obiektywizm w odtwarzaniu postaci „białych imperjalistów”... obiektywizm wyzbyt wszelkiej przesady... dałki od parodji czy szkalowania lub potwarzy: jak bardzo imponujący jest ten dyrektor kolei lub jego wspaniały sekretarz — idealny typ pełnej energii i woli życia i walki — rasy białej, rasy zdobywców!...

Jakby odpowiedzią na „anty-biały” propagandowy, klasowo-proletarcki „Błękitny express” — jest „Shanghai-express” Sternberga z Marleną Dietrich i Clive Brookiem. Tu osób nie tak dużo, ale wszystkie jakże indywidualizowane i wciągnięte w typową dla amerykańskiej kinematografii awanturniczo-romantyczną fabule! I tu Chiny świetne: i koleje, i porządki na kolejach, i obrazy z wojny domowej i uprzywilejowana sytuacja cudzoziemców; — naprawdę „Shanghai Express” to niebylejakiego arcyzmu pełen dokument życia i stosunków dalekowschodnich, widzianych oczyma człowieka z tegoż świata kulturalnego i społecznego, co my.

W ten sposób 2 te „expressy”: Błękitny—sowiecki i Szanghajski—amerykański wybijają się na czoło kinematografii egzotycznej, interesującej się tematami Dalekiego Wschodu.

(p. t.)

—o—